ILUSTROWANY
GŁOS NARODU

z dnia 12. Kwietnia 1902 r.

GORNO-ŚLĄZACY.

Mieliśmy ich tutaj, u siebie. Tych prostych, spokojnych cichych ludzi, na których twarzach maluje się nieśmiałość, ale i nieugiętość. Zdaje się, jak gdyby do tych rysów przyrósł na zawsze wyraz ciepłego, nigdy niezamierającego lęku a zarazem dziwnego jakiegoś uporu.


Nast. tronu austro-węg. Franciszek Ferdynand d'Este, ur. w r. 1863.


Następca tronu angielskiego. Jerzy, książę Kornwalii i Yorku, ur. w r. 1865.


Następca tronu hiszpańskiego, Alfons, ur. w r. 1886.


Następca tronu rumuńskiego. Ferdynand, ur. w r. 1865.

Wszystko to ludzie prości — rolnicy, robotnicy w fabrykach i hutach, rzemieślnicy — lud. Zaledwie paru „inteligentników", ludzi z miasta, dziennikarzy. Wszyscy w strojach ślązkich ludowych. Mężczyźni w kamizelach i katanach ciemnych z czerwonemi wypustkami i złotymi guzami, w ogromnych, fut'zanych „skórzmach" no głowach, kobiety ogromnie „rzęsisto" poubierane, w czarnych spodnicach i gorsetach, w jedwabnych, kolorowych fartuchach. Barwnie i bogato koło szyi i u krótkich rękawków koronki, na szyi ogromne korale, u czepca lub wieńca szerokie, barwne, jedwabne wstęgi.


Następca tronu duńskiego, Fryderyk, ur. w r. 1843.


Następca tronu czarnogórskiego, Daniło, ur. w r. 1871.


Następca tronu bułgarskiego, Borys, książę Tirnowy, ur. w r. 1894.


Następca tronu szwedzkiego i norweg-skiego, Gustaw, ur. w r. 1858.

A jednak...

— Przysiadam się do którejś z kobiet, zaczynam rozmowę. A! wszakże to dawna moja znajoma!

— To oni byli u nas tamtego roku! — odpowiada mi nieśmiało, rzucając mi z pod powiek rozweselone, przyjazne spojrzenie.

— A tak! Na weselu. To mnie pani pamięta?

— Coby nie! Tańcowali z naszymi i kołacze jedli z nami!

Mówi pomalu, zająkliwie trochę, jakby jej z trudem przychodziły słowa, albo, jakby się ich wstydziła. Wyciągam ją na rozmowę. Rozpytuję o dzieci, pozostałe w domu, o stosunki miejscowe, o młodych, na których weselu poznałyśmy się. Do rozmowy przyłączają się i inni, z początku nieśmiało, potem coraz swobodniej. Zabawnie wygląda to ich traktowanie mnie per „oni", ale u nich tak się mówi. To ja raczej odskakuję od nich swojem sztywnem „pan" i „pani". Wstydzę się tego, jak rzeczy obcej jakiejś i nienaturalnej.

— Jacy oni prości i szczerzy! — myślę.

I doznaję dziwnego uczucia, z którego sobie na razie nie mogę zdać sprawy. Po chwili dopiero uświadamiam sobie wrażenie. Oto wydaje mi się, że czary jakieś przeniosły mnie w wieki dawne, że rozmawiam z którymś z przodków naszych ich językiem prostym, archaicznym a pełnym wdzięku. Albo nie! Że raczej oni, ci dawni, ci ze starych kronik tylko znani, odżyli i przyszli tu do nas, w nasze społeczeństwo zmodernizowane i wyrafinowane, w nasze społeczeństwo XX. wieku.

— Jacy oni naiwni, a jacy zarazem szanowni! — myślę dalej, znajdując coraz większy urok w rozmowie z nimi.

Nie mogę jednak zupełnie przełamać ich nieśmiałości. Mimowoli, badając przyczynę, spoglądam po sobie.

— O, Wielki Boże! Jakże ja wyglądam przy nich w swojej obcisłej ogromnie długiej sukni. W tej chwili wstydzę się, żem tak „modna". Jestem wśród nich, jak cykorya wśród kapusty. One małe, w bardzo szerokich a krótkich sukniach, (im szerzej, tem u nich „szykowniej"), ja cienka i długa. Ich nogi, w białych pończochach i czarnych pantofelkach wyglądają zalotnie z pod sutych spodnic. Ja — ja nie mam nóg wcale. No, nie mam poprostu. Mam tylko długą, długą suknię, leżącą na posadzce dokoła mnie, jak kielich powoju, któryby postawiono ogonkiem do góry.

Przerażona tem porównaniem, podnoszę co prędzej wzrok do góry. Widzę ich lśniące, gładko przyczesane, w koronę warkoczy ujęte głowy, włosy i, przypominam sobie naturalnie swoją własną głowę, z rowianemi włosami, ze sterczącym w górę kapeluszem.

I nagle zaczynam się tego kapelusza, wło-

sów, woalki, sukni, rękawiczek tak wstydzić, ale to tak wstydzić...

Że z kolei ja staję się nieśmiałą i milknę.

Mówię, że oni są inni. Rozmawiają z mężczyznami o stosunkach na Śląsku pruskim, o stosunkach politycznych, ekonomicznych, społecznych, a nadewszystko naturalnie szkolnych.

Znamy to wszyscy.

A jednak zawsze niedość jesteśmy chciwi tych wieści. I słuchając opowiadań o tych okropnych, o tych barbarzyńskich stosunkach, którychby się nie poswtydziły czasy „raubritterów“ doznajemy nagłego olśnienia.

— A! wiem już teraz, skąd u tych ludzi ten wyraz wiecznego zalęknienia, połączonego z dziwnym jakimś ogniem, płonącym gdzieś na dnie oczu. To strach przed pięścią pruską, ciążącą na ich mózgach bezustannie, to bunt przeciwko tej żelaznej, gniotącej pięści.

Słyszeliście wszyscy historyą o bohaterskich dzieciach we Wrześni, szukacie skwapliwie po dziennikach notatek z tytułem: „Nowe gwałty pruskie“, ale idźcie tam, między nich, a zobaczycie sami, że takich wypadków ciągle tam setki, że nie naliczyłby tam gwałtów z jednej

O, Ruskinie! — wzdycham z głębi duszy.

Wjeżdżamy wreszcie w jakąś ulicę. Domy nie wielkie, dwu i trzypiętrowe kamienice, nagie, z czerwonej poczerniałej od dymu cegły, stojące przeważnie oddzielnie.

To Bogucice.

Co?! wieś? I to ma być wieś?! Trzypiętrowe domy! elektryczne oświetlenie?! — Patrzymy po sobie zdumieni. Czy to sen?

Zajeżdżamy — witają nas serdecznie, z gościnnością niezrównaną. Izby nieduże, czyste — wszystko białe. Szafy, stoły, ławy, łóżka zasłane ogromnie wysoko białemi jak śnieg pierzynami — wszystko z jasnego sosnowego drzewa.

Jak czysto!

W zestawieniu do ciemnego, zbrudzonego krajobrazu, wnętrze mieszkania wydaje nam się rajem, symfonją białości. Firanki, kapy, obrusy. Oglądamy cały dom, zaglądamy nawet do kuchni — wszędzie tasama, niezrównana czystość. Statki szorowane codzień, ba! tam się nawet garnki myje mydłem i szczotką! Małe, porcelanowe garnuszki wiszą na ścianie na kolorowych wstążeczkach. Na ścianach obrazy świętych fo-

Idziemy i my do tego „ogrodu“. Stoły i krzesła, stoły i krzesła — kilkadziesiąt lampek elektrycznych wisi na gałęziach drzew, które już dawno zapomniały, że kiedykolwiek miały piękne, młode, zielone liście. Naokół gwar niemieckich rozmów, brzęk kufiów i dźwięk półgłosem nuconych „liedów“, ani śladu szczerej, rozhukanej wesołości naszego ludu. Oko daremnie szuka swobodniejszego gestu lub podskoku — ucho tęskni za szerokiem, rozgłośnem *U-ha!* naszego krakowskiego, a bodaj za siarczystym jego zaklęciem. Nic. Wszystko „friedlich“, „gemüthlich“.

Jedziemy dalej w milczeniu już zupełnem.

Co to za różnica! — myślimy każde sobie. Tu dobrobyt — u nas nędza. Tu czystość i ład — u nas brud. Tu inteligencja i uświadomienie — u nas jeszcze ciemnota.

A jednak...

I coraz gęstszy, cięższy mrok pada nam na serca. Idzie od pól szarzejących, od nieba zasłoniętego gazą brudną, od horyzontu płaskiego, którego jednostajną linję przerywają tylko fabryczne kominy.

— A to co? — wołam nagle, wskazując na pole jakieś zaklęsłe, posiane krzyżami i palikami z trupią główką — niby cmentarz.

— A to ostrzeżenie, aby tam nie chodzić, bo pokład ziemi już zbyt cienki, i może się zawalić. Kopalnie węgla.

Stajemy. To granica. Wysiadamy i idziemy piechotą dokąd tylko można — aż tam do tych żelaznych słupków z czarnymi orzełkami.

Tam, o parę kroków, widać drugi rząd takich słupków drewnianych, w czerwone i białe pasy pomalowanych, z orłem dwugłowym. Stoimy wszyscy w zadumie głębokiej, z utkwionym w te orzełki wzrokiem.

Tu Prusy, tam Rosja — a my poddani austrjaccy, między Prusami a Rosją, na polskiej ziemi — Polacy.

Spuszczamy głowy. Już nie przygnębienie lub smutek dusze nasze pożera — ale rozpiera piersi nasze uczucie głuchego, bezsilnego buntu, głuchej, bezsilnej wściekłości. Potworna, szatańsko silna pięść żelazna, wisząca nad ziemią, staje się widzialną oczom naszym i przygniata nam piersi i mózgi.

Och! Chodźmy już. Od tego widoku oszaleć można.



Dorożka londyńska.

a bohaterstw z drugiej strony, bo **gwałty dzieją się tam codziennie a bohaterem jest każdy z tych ludzi!**

Ja tam byłam.

W czerwcu roku zeszłego wybrała się nas tam garść ludzi, z p. Maryą Siedlecką na czele. Byliśmy zaproszeni na wesele, które jeden ze Ślązaków wyprawiał siostrze swojej.

Wyjechali po nas na dworzec katowiecki kilkoma wspaniałymi powozami (tak, tak, chłopi mający powóz, to u nas rzecz niesłychana!) przywitali ciepło, serdecznie.

— Jak daleko do Bogucic? pytam hutnika, p. L., jadącego z nami. W Bogucicach bowiem miało być wesele.

— Będzie ze dwadzieścia minut.

Jedziemy zatem rozglądając się.

Miasto Katowice duże, bogate, czyste — ładne bruki, elektryczność, tramwaje. — Wyjeżdżamy za miasto. Nie widzę pól, lasów, za to dalszy jakiś ciąg miasta. Drugie miasto kominów fabrycznych, porozsiewanych gęsto, gęsto. Zmęczone oko szuka odpoczynku, szuka miękkiej, soczystej zieleni, gdzieby odpoczywać mogło, utonąć, orzeźwić się. Nic. Tam jakiś marny skrawek zboża, tu jakieś łąki czy ugory — ale wszystko brudne jakieś, zakopcone, szare.

Nic, czarne, sterczące twardo w górę kominy zieją wokół brudnym, cuchnącym oddechem, zatruwającym powietrze tak, że płuca nasze kurczą się, oddychając krótkim jakimś „tymczasowym“ oddechem. A naokół, w powietrzu, na domach, na tej skąpej, mizernej zieleni, brzydki, czarny dym, dym, dym... Snuje się z gardzieli kominów długiemi, skłębionemi kitami, kładzie się na polach brudną, cuchnącą oponą, rozsnuwa w powietrzu gęstą, szarą gazą jakąś, która zasłania błękit niebios. — Błękit? — Nie! niebo jest tu także jakąś niebiesko-szarą szmatą, zawieszoną nad smutną ziemią. Nawet słońce przez ten kir dymów świeci mdło i martwo jakoś. Blaski jego nie złote, lecz niewidziane jakieś a palące.

Droga, po której jedziemy, czarna, domy czarne, na polach leżą całe góry czarniawego węgla, zmieszanego z ziemią...

Brrr... Jakżeż tu smutno! Milkniemy przygnębieni.

— Lasu! lasu! choć kawałek zielonego, bujnego lasu! — wołają nasze smutne oczy, znajdujące tylko gdzieniegdzie małe, wątłe, chorowite drzewka przydrożne.

tografje, powinszowania i haftowane „Boże błogosław!“

Przyjmują nas kołaczami, wędlinami, winem, i — po staropolsku — miodem. Po uczcie chór młodzieży śpiewa pieśni narodowe. Chór dobrany i zgodny.

Jeszcze dnia kawał. Proponuję gremialną po wsi przechadzkę.

— A nie! tego nie można! U nas nie wolno chodzić gromadami! Jeżeli żandarm spotka razem choćby już tylko pięć osób, aresztuje ich.

— Brawo! a więc pójdziemy do „kozy“ — wołam. Ciekawam, co zrobią z taką gromadą ludzi.

Ze względu jednak na Ślązaków, którymby każdy nasz wybryk dużo mógł napędzić biedy, zgadzamy się z koniecznością i rozdzielamy się na grupy. Kilkoro z nas siada do powozu wieśniaka p. B. i jedziemy ku granicy rosyjskiej. Wszędzie tosamo. Czarno, smutno... Jedziemy pomału, słuchając objaśnień.

— Tam oto mieszka Polak — a ten tutaj, to się już zniemczył. Syn jego należy do „Sangvereinu“, a córka wychodzi za Prusaka. Ale nie dziwota — pracują w niemieckich fabrykach, a Polaków prześladują bardzo, a i mniej nam płacą, niż swoim.

— A ileż pan naprzykład zarabia dziennie w hucie?

— A no, różnie. Ale bywa i 6 albo 8 marek dziennie. Ale i harowanie jest!

— 6 marek? To dużo! Musicie się mieć dobrze.

— Tak — niezgorzej. Grosza to tam żadnemu nie brakuje — ale cóż, kiedy zato swobody nijakiej niema.

Jedziemy. Zmrok z dymem razem pada nam na dusze, że robią się coraz cięższe, coraz cięższe.

— Smutno tu. Ani śpiewów nie słychać, ani hukania, jak to u nas na wsi w niedzielę. Czy to za bydłem pastuchy u was nie śpiewają?

— Zaśby tam śpiewali! Przecie po niemiecku śpiewał nie będzie — a zacznij ino po polsku, to ci zaraz taki w kasku przyjdzie i mówi, co niewolno. Ale ot i karczma — może pozwolą?

Wchodzimy. Ogromna, źle oświecona sala. Pary poubierane z europejskim „szykiem“ kręcą się w takt powolnego walca. „Panny“ w ciemnych sukniach i białych perkalowych bluzkach, „panowie“ w tużurkach. Jaki taki, okręciwszy pannę, idzie z nią do ogrodu i funduje jej „bombę“. Zabawa chłodna, bez prawdziwej ochoty, wszystko „po niemiecku“.

Nazajutrz — wesele.

Poczęstunki, wizyty, ceremonje. Postrojone kobiety i dużbowie przy bukietach, panna młoda w czarnej sukni, z wieńcem mirtowym na głowie (strój czarny jest tam narodowym), ślub w ogromnym, ciężkim, bogatym kościele o jakiejś osobnej, ślązko-gotyckiej strukturze, uczta i tańce w „karczmie“, która właściwie jest ogromną, piękną salą balową, wolniutkie walce i „sztajery“ i piwo, piwo, piwo.

I znowu wszystko spokojnie, po cichu, b... wolno“ i — „gemüthlich“.

Ogromnie podniosłe wrażenie wywoł... nas ceremonja błogosławieństw panny młod... dawania jej mężowi, a potem mowa „star...“ Jak ten człowiek mówił! — Pomału i z ... słem, ciężko, jakby mu dobór słów przy... z trudem — potem coraz szybciej — aż na... dą, ogniem huty strawioną twarz wystąpiły mu wypieki, a w głęboko osadzonych oczach zatlił się ponury ogień fanatycznego zapału.

— Pamiętajcie, że zakładacie nową polską rodzinę! obowiązkiem waszym, większym, świętszym obowiązkiem, niźli względem ojców i matki jest zachować tę polskość waszą. Zachować mowę i wiarę, jakąście z domu ojców waszych wynieśli i dzieciom je przekazać. Ty, przyszła matko nowej rodziny, pamiętaj, że ty to wychować masz nowych synów ojczyźnie naszej — ty to zachować masz święte tradycje w domu twoim — ty to nauczyć masz dzieci twoje polskiego, katolickiego pacierza!

Mówił z dziwną jakąś, utajoną w głębi słów własnych siłą. Ciemna pręga, którą miał na czole wystąpiła mu krwawą linją, usta drżały, oczy zapadłe w głąb, ciskały fosforyczne jakieś błyski.

Patrzyłam na niego zdumiona. Teraz dopiero zrozumiałam, skąd ten lud bierze tyle duchowej mocy do walki z tysiącgłową hydrą. Teraz dopiero zajaśniały mi w duszy oświetlone jaskrawem światłem wszystkie te niezliczone historje prześladowań, cierpianych wszędzie na każdym kroku, w kościele, szkole, fabryce, na ulicy — te historje, których tyle słyszałam przez te z nimi spędzone godziny. Teraz dopiero zajrzałam w głąb duszy tych ludzi. U nich „polskość“ to nie poza, nie szczudła, nie haftowana „kierezja“, nie „bałamuctwo narodowe“, nie „literatura“. U nich polskość, to rdzeń ich myśli, uczuć i pragnień — to treść ich życia — to przemocny, przetrwały, granitowy podkład, z którego wyrastają ich proste, niezłożone, naiwne i gorące dusze — to życie ich życia — to **oni sami!**

I uczułam ogromną cześć dla tych ludzi, dla tych prostaczków, dla tych bohaterów. Spojrza-

...na po całym tym barwnym, strojnym, weselnym tłumie. Ztąd dziwnie poważny, dziwnie twardy i mocny jakiś w swem zasłuchaniu — dziwnie skupiony w swej pstrokaciźnie. Obok katany śląskiej surdut miejski — obok grubych rąk i czerwonej twarzy „starościny", wysmukła postać młodej słuchaczki uniwersytetu. Tłum tak dziwny, tak zmieszany — a tak szanowny i wielki.

Stanęło mi żywo w duszy Wyspiańskiego „Wesele".

To tutaj inne było....

* * *

A ternz przyjechali do nas.

Rozradowani, „że tu taką piękną polską mowę słyszą" i to z ust ludzi inteligentnych — upojeni widokiem kościoła Marjackiego, Rynku, starych Sukiennic.

Urządzono dla nich piękne w sali „Sokoła" święcone. Komitet z niestrudzoną inicjatorką panną Marją Siedlecką na czele nie żałował trudu. Było dużo pięknych mów i głośnych wiwatów.

A potem zagrali Ślązacy amatorskie przedstawienie w teatrze.

— Jakie to ładne, naiwne i proste — myślał każdy z nas, składając co chwila ręce do oklasku. Żałować nam tylko wypadło, że teatr nie był zapełniony po brzegi. Trzeba było sprosić lud nasz okoliczny, lud wiejski — niechby się przypatrzył braciom swym ze Śląska, niechby ich poznał, niechby się losem ich zainteresował. A może z czasem nauczyłby się kochać ich nauczywszy się rozumieć.

A gdy odjeżdżali, wołaliśmy za nimi z całego serca:

— Do widzenia!

— Dowidzenia, kochani! Jeżeli Wam potrzeba ciepłego od nas słowa — jeżeli chcecie od czasu do czasu rozradować serca widokiem Wawelu i dźwiękiem czystej mowy polskiej — przyjeżdżajcie! *Zofja Wójcicka.*

Żydzi jako przybysze w Polsce.

(Dokończenie).

O karach za zabójstwo żyda stanowi Kazimierz Wielki ... zabójca żyda ma być śmiercią karany, — oceniając głowę za głowę, — a inaczej w tej mierze nie ma być sądzonym, — „jeżeli zaś: „zabójca chrześcijanina uciekł tak, żeby nie mógł być pojmany, wtedy dobra ruchome i nieruchome tego chrześcijanina w jednej połowie mają się dostać najbliższym krewnym zabitego, a druga połowa przypada Kamerze naszej".

„Jeżeli zbieg, zabójca żyda, glejtu zabezpieczającego żądać będzie, nie wolno mu takowego dać chyba za pozwoleniem krewnych zabitego żyda".

W zamiarze wypełnienia przepaści, jaka dzieli ludność żydowską od chrześcijańskiej, a więc w celu rozwiązania kwestji społecznej, buduje prawodawca most, ustanawiając: „Gdyby jakiś ... szedł do domu jakiegoś chrześcijanina, nie powinien mu żaden chrześcijanin czynić napaści, krzywdy, ani przykrości". „Chcemy i stanowimy także, aby każdy żyd wolno i bezpiecznie mógł wejść do łaźni miejskiej razem z chrześcijaninem i nie więcej płacił jak chrześcijanin". „Każdy żyd może wolno i bezpiecznie iść, przechodzić, jechać bez wszelkiej przeszkody i aresztu od miasta do miasta, z prowincji do prowincji w naszem królestwie i podług zwyczaju z zupełnem bezpieczeństwem i wolnością może prowadzić i przenosić swe dobra i rzeczy albo towary jakiekolwiek, może takowe przedawać i inne kupować, zamieniać i ku użyciom upodobanym i dowolnym obrócić, może je w mieście i miasteczku zostawić, stać z niemi i bawić, jak mu potrzeba wypadnie, we wszystkich miastach, miasteczkach, wsiach i innych miejscach królestwa naszego, doznając jak każdy pewności i bezpieczeństwa a cła mają opłacać nie większe od chrześcijan".

„Gdyby chrześcijanowi skradziono jaki zastaw i zastawiono go między żydami, winien udać się chrześcijanin do starszego szkoły i w szkole wypytywać się żydów o takowy zastaw i posługacz szkoły winien to czynić z wiadomością starszego, a gdyby który żyd ukradzionego zastawu zapierał przed posługaczem, przed starszym a potemby się u kogo fant znalazł, taki żyd traci pieniądze na ten fant dane, prócz tego za karę zapłaci Wojewodzie 3 grzywny".

„Iż żaden chrześcijanin nie może samowolnie szukać jakieś zastawy w mieszkaniach i domach żydów, nie złożywszy pierwej grzywny złota na progu mieszkania żydowskiego, którą żyd podnieść powinien i która mu się dostaje, w przypadku jeżeli chrześcijanin nie zważając i nie troszcząc się o nasze ustawy, siłą wpadnie do domu żyda, celem szukania jakichkolwiek rzeczy swoich, nie złożywszy wzmiankowanego wyżej złota, ma być sądzony jako rozbójnik".

„Z naszego szczególnego przyzwolenia, także stanowimy: że każdy żyd nasz może za pieniądze brać w dzierżawę i w zastaw dobra każdego szlachcica ziemskiego jakiegokolwiek stanu i kondycji i takowe pieniądze winien zabezpieczyć w trzech księgach: grodowych, starościńskich i ławniczych i na fanty jakiejkolwiek wartości mogą pożyczać pieniądze; lecz z takich zastawów nie może żyd brać więcej lichwy jak jeden grosz z każdej grzywny na tydzień, póty, poki fant u żyda zostawać będzie, choćby nawet żyd i którego z dłużników swych zapomniał".

„Gdyby się zdarzyło, że żyd jaki upominałby się jakiemu dłużnikowi chrześcijaninowi, który mu się zobowiązał albo zapisem piśmiennym pieczęcią opatrzonym, albo pisaniem w pomienione księgi, a dłużnik chrześcijanin tak jak się zobowiązał, nie starałby się zuchwale i lekkomyślnie wypłacić zupełnie żydowi, naówczas wam wojewodom, starostom, burgrabiom naszym i ich zastępcom i innym wszelkim urzędników nakazujemy: abyście naszym żydom stanowczą wymierzali sprawiedliwość z rzeczonymi ziemianinami dłużnikami; abyście im dopomagali: a gdyby do wwiązania czyli do intromisji w dobra dziedziczne naszej ziemi przystępowali, a woźni chcieli to zwrócić (zmienić) na zastawy czyli pożyczki, naszym królewskim rozkazem polecamy, abyście wy wyż wymienieni żydom naszym pomoc dawali, tychże żydów od wszelkich krzywd zasłaniali i ich do dóbr naszej szlachty wprowadzali i wwiązywali".

„Jeśliby zaś którzy żydzi przez was lub waszych podwładnych do jakich dóbr dziedzicznych naszych ziemian wwiązani i wprowadzeni byli, stanowimy: że do którego ziemianina dóbr żyd będzie wprowadzony, taki ziemianin winien temu żydowi stawić zaręczycieli dobrze obsiadłych, którychby sam żyd akceptował, a to z tego samego powiatu, w którym dobra te leżą. A żyd ten będzie mógł te dobra dziedziczne spokojnie dzierżawić, trzymać i posiadać bez żadnej przeszkody pod tym warunkiem, aby te dobra dziedziczne miały swą jurysdykcję i w niczem nie ubliżono prawom Pana".



Doróżka rosyjska.

„A gdyby zdarzyło się, że który ziemianin nasz, któregoby dobra dziedziczne trzymał żyd podług prawnej intramisji, podług dawnego zwyczaju ziemskiego tych dóbr nie wykupił, stanowimy, że po upływie trzech lat następnych, będzie mógł sam żyd te dobra sprzedać lub na swój dobrowolny użytek obrócić, jak mu się lepiej i korzystniej zdawać będzie".

„Stanowimy także: że żyd, trzymający dobra dziedziczne ziemskie, nie będzie żaden obowiązany jechać na wojnę, ani dawać co na wyprawę, a to dlatego, iż żydzi należą tylko do skarbu Naszego".

Nadto stanowimy, że gdyby który z naszych ziemian dłużny będąc jaką sumę za obligiem lub zapisem w książkach, lub innym jakim sposobem, a umarł zostawiwszy dzieci małoletnie, żydzi przez czas małoletności tych dzieci, nie mogą z dóbr wychodzić (być wyrugowani), lecz powinni tam pozostać według służących sobie obligacji, a to dlatego, że żydzi powinni mieć zawsze gotowe pieniądze na wszelkie nasze królewskie potrzeby, jako poddani nasi".

Następcy Kazimierza Wielkiego, Władysław Jagiełło i Warneńczyk nie czynili żadnych dalszych ustępstw na rzecz żydów, natomiast Kazimierz Jagiellończyk 13 sierpnia 1433 r. potwierdził im przywilej główny Kazimierza Wielkiego. Toż samo krótko panujący od 1492—1505 Jan Olbracht i król Aleksander, potwierdzili przywileje udzielone przez Bolesława Kaliskiego. Za Zygmunta I. 1506—1548 r. prawodawstwo świeckie tchnie dla żydów duchem wysokiej sprawiedliwości; zaś następca tegoż Zygmunt August w 1548 znów potwierdza przywilej Kazimierzowski. Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście wydało najpiękniejszy owoc ówczesnej wolnomyślności szlacheckiego narodu polskiego. Jeneralną Konfederację warszawską z dnia 28 stycznia 1573 r. Konfederacja ta w trzecim punkcie zapewnia pokój religijny wszystkim dyssydentom. Stefan Batory podczas walnego sejmu w Warszawie 2 stycznia 1580 r. potwierdził przywileje przez królów poprzednich nadane i wydał statut dla żydów następującej osnowy:

1) „Stawia się żydów na równi z mieszczanami, obdarza się ich wolnościami tychże, i tylko do sądownictwa królewskiego należeć mają, wyjąwszy w sprawach prywatnych.

2) „Zastrzega się, aby im mieszczanie w budowaniu domów, ani w wykonywaniu rękodzieł nie przeszkadzali. Gdyby zaś w tem wszczęła się jakaś sprzeczka, wojewoda ją rozstrzygnie.

3) „Wojewoda albo też jego zastępca nie będzie sądził żydów bez wysłuchania assesorów żydowskich i ich zdania. Żydzi zdania swoje kolejno wypowiedzą. Notarjusz żydowski nie będzie mógł być ani wybrany, ani z urzędu złożony bez poprzedniego przyzwolenia starszego żydów, który wybór notarjusza potwierdzić powinien.

4) „W celu tańszego zakupna żywności pozwala się im wolne wykonywanie ich przemysłów, które bez przeszkód z czyjejkolwiek strony wykonywać mogą.

5) „Gdyby żyd na wiarę katolicką przeszedł i żonę wiary katolickiej pojął i z nią potomstwo miał, inne zaś potomstwo z żoną żydowską spłodzone, we wierze żydowskiej zostawił; zastrzega się, aby dzieci z żoną katolicką spłodzone, żydom pod względem spadku uszczerbku nie czyniły.

6) „Żydzi obowiązani będą rzeczy w zastaw dane wpisać do aktów wojewodzińskich, a to dlatego, aby sprawców kradzieży znaleźć można.

7) „Żydzi nie będą przysięgać inaczej, jak tylko na rodał, albo we drzwiach bóżnicy — według dekretów królewskich.

8) „Ani w dnie sobotnie, ani świąteczne nie mają być wołani przed sąd.

9) „Po śmierci żyda, żona jego mając posag swój wpisany w akta grodzkie w sądzie wojewódzkim, będzie miała pierwszeństwo przed wierzycielami. Coby zaś po zaspokojeniu wierzycieli jeszcze się zostało, to wszystko przypada na sukcesorów zmarłego".

Zygmunt III. dnia 25 marca 1588 wydał dekret biorący żydów w opiekę i potwierdził poprzednie nadania.

Władysław IV. podczas sejmu koronacyjnego 16 marca 1633 potwierdził poprzednie nadania, a 4 czerwca 1642 udzielił żydom wolność handlu wywozowego.

Jan Kazimierz w 1649 r. potwierdza nadanie Kazimierza Wielkiego.

Michał Wiśniowiecki w 1669 r. potwierdził poprzednie nadania.

Jan III. znany z dobrodziejstw żydom świadczonych w r. 1648 potwierdził Statut Kazimierzowski.

August II. w 1697, August III. w 1735 i Stanisław August w 1765 r. uznali i przestrzegali nadania Kazimierzowskie.

Wszystkie sejmy Rzeczypospolitej ustanawiały możliwe ulgi i łagodne prawa dla żydów, ostatni zaś czteroletni, ustanawiając konstytucję 3 maja, koronuje dzieło, wypowiadając zasadę zupełnego równouprawnienia, mówiąc: „Prawo uznaje żydów za ludzi wolnych... W poddaństwo zapisać się nie są mocnymi".

„W społecznościach do których należą, mają głos czynny. Urzędnikami obranymi być mogą i obierają, a to stosownie do praw powszechnych. Wolno jest żydom starać się o urzędy wszelkie... Wolno jest żydom nabywać grunta, młyny, etc. podług powszechnych prawideł.

„Pozwoli najwyższa władza policyjna tym żydom, którzy pomogą do wykonania tej ustawy, szczególniej do osadzenia żydów na roli, kupować dobra. Po upływie lat 20-tu wszystkim żydom nadaje się taka wolność...

„Podatki też same będą na żydów, które na chrześcian.

„Żaden żyd do chrztu przyjętym nie będzie, chyba mężczyzna w roku dwudziestym, kobieta w roku 18-tym, i to po roku uczynionego doświadczenia“.

Nie źle się więc wiodło żydom w Polsce, będąc bowiem w sąsiednich Niemczech z mienia ograbieni i z tamtąd sromotnie wypędzeni, znaleźli iście braterską opiekę w królach, Sejmach i prawie, jakże się wywdzięczyli Narodowi, który ich w imię dogmatów Wiary Chrystusa do piersi swej przygarnął? Zdobywszy wśród nas lichwą i oszukańczymi sztuczkami bogactwa, opanowawszy przemysł i handel, nie poczuwają się do obowiązków obywateli tej ziemi, która ich obficie karmi, i tak hojnie wyposaża. Tworzą w Narodzie odrębne, wrogie nam społeczeństwo czyhające tylko na wydarcie nam mienia i skiby ojczystej, zakładając i utrzymując w pośród nas niemieckie szkoły, aby broń Boże nie utracić nic z dobrodziejstw, jakie im błoga kultura niemiecka przed wiekami narzuciła.

Kulturę tę, która im język ojczysty wydarła, która zatarła ich nazwiska rodowe, jakie ze sobą z Ojczyzny swej przynieśli, nadając niemieckie z wielką pielęgnują troskliwością, dla błogiej zapewne tradycyi, jaka im po szczęśliwej u Niemców gościnie powstała. Z Niemcami też obecnie łączą się w walce przeciwko Polakom,— a prasa żydowska w Niemczech, jest na wskróś hakatystyczną.

Po sześciu wiekach nie uznali oni dotąd za stosowne wyuczyć się języka krajowego, owszem przestrzegają i czynią wszelkie wysiłki, aby to nie nastąpiło. Nawet wśród inteligencyi żydowskiej nader rządko spotyka się jednostkę, któraby poprawnie językiem polskim w słowie i piśmie władała, żargon niemiecki pielęgnowany w rodzinach żydowskich psuje wszelkie usiłowania szkoły polskiej o ile żyd do takowej uczęszcza, przekładając nad nią, gdzie tylko to jest możliwe, szkołę niemiecką. Z postępowania tego wobec nas, którego i wieki i wszelkie najhumanitarniejsze prawa i przywileje zmienić nie zdołały, jakaż wynika dla nas nauka? Oto że żydzi nigdy i nigdzie, — nie mówiąc o pojedynczych wypadkach — patryotami dobrymi nie byli i nie będą, a zwłaszcza tam, gdzie zostawiano im swobodę w życiu i społeczeństwie, za to zaś przed terroryzmem i dzikim gwałtem, przed obawą miecza lub bata uginali karki, pokornieli i przynajmniej pozornie zlewali się ze społeczeństwem [illegible] indywidualne i narodowe wady.

Gdyby przybysze ci niepożądani, wypędzeni z Niemiec nie znaleźli tak tkliwego przyjęcia u naszych Piastów i Jagiellonów, byliby prawdopodobnie wyrzekli się swego kultu niemieckiego, nauczyli rychło naszego języka i stali się rzetelnymi i pożytecznymi obywatelami przybranej Ojczyzny! — Jakże inaczej skorzystali z naszej gościnności przybysze w XIV. wieku z dalekiego wschodu Ormianie, którzy przy zachowaniu swej odrębności obrządku religijnego, potrafili zjednać nasze serca, zostając w doli i niedoli wiernymi naszymi druhami! Takimi pragnęliśmy uczynić żydów, gdy tymczasem wychowaliśmy pasożytów żyjących kosztem naszego narodowego organizmu.

Ślepowron.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

Pani Czajkowska.

Po śmierci męża, pani Czajkowska znalazła się w położeniu bardzo trudnem. Mimo to dawała sobie jako tako radę i nie traciła wiary w lepszą przyszłość. Kazio był wówczas uczniem drugiej klasy, uczył się dobrze, i to osładzało jej najcięższe chwile i dodawało wytrwania do walki z losem i z nędzą, której widmo wiecznie sterczało u progu. Pani Czajkowska miała jeden cel w życiu — wychować swego chłopca na porządnego człowieka i do celu tego dążyła wytrwale z nieugiętą rozpaczliwą energją. Była genjalna w zaoszczędzaniu koniecznych wydatków i odmawianiu sobie tego, czego odmówić mogła. Kazio, rozwinięty nad wiek, czuł dobrze poświęcenie matki i czasami, gdy się budził w nocy i widział ją schyloną nad stołem, ostry ból niby gryzący wyrzut sumienia ściskał go za serce.

Najprzyjemniejszemi chwilami w ich życiu były sobotnie popołudnia. Kazio nie szedł nazajutrz do szkoły, naukę lekcji odkładał na niedzielę i wieczorem, po herbacie, rozpoczynali z matką długie serdeczne gawędy, które nieraz przeciągały się do pierwszej, drugiej w nocy. Pani Czajkowska wspominała dawne lepsze czasy, a on marzył w głos o przyszłości. Punktem wyjścia tych jego snów i rojeń była czwarta klasa. W czwartej klasie można już znaleźć korepetycję — będzie mógł trochę zarabiać i ulżyć matce.

— A wtedy mamusia odpocznie — mówił, wyprostowując się na krześle, jak gdyby przez to chciał dodać powagi swoim zapewnieniom.

Ją ogarniało rozrzewnienie Ściskała chłopca i tuliła go do piersi.

— Odpocznę, synku, odpocznę, tylko ty wyrośnij na porządnego człowieka.

Zdarzało niekiedy, że pani Czajkowskiej, wspominającej dawne czasy, łzy zakręciły się w oczach. Kazio pocieszał ją jak umiał, i starał się przelać w jej duszę cały swój hart dwunastoletniego mężczyzny. Czasem i on nie mógł się oprzeć wzruszeniu, i płakali oboje, ale łzy ich były jak rosa, która odświeża kwiaty — zmywały z ich serc wszystek brud życia, złość, zawiść, niechęć, zwątpienie, wszystko co się rodzi z nikczemnych, powszednich trosk.

W niedzielę szli razem do kościoła, poczem na obiad do chrzestnych rodziców Kazia, którzy płacili za niego wpis, i gdy wieczorem oboje zasiadali znowu do pracy, byli zupełnie szczęśliwi. Pani Czajkowska mając żywo w pamięci tę straszną, beznadziejną rozpacz, jaka ogarnęła ją po śmierci męża, ze łzami w oczach dziękowała Bogu, za to, że to już wszystko minęło, że znowu z wiarą mogła spoglądać w przyszłość.

Ale pewnego dnia Kazio, powróciwszy z gimnazjum do domu, zaczął się uskarżać na silny ból głowy i gardła. Rzeczywiście miał trochę gorączki, lecz humoru nie stracił, śmiał się i dowcipami starał się rozweselić przerażoną i znękaną matkę. Pod wieczór jednak gorączka się wzmogła, w nocy stracił przytomność a w tydzień potem — umarł.

Ojciec chrzestny sprawił mu pogrzeb i obliczywszy, ile by kosztowało płacenie wpisów szkolnych, gdyby Kazio nie był się przeniósł do lepszych światów — sumę tę wręczył pani Czajkowskiej. Przytem starał się ją pocieszyć i, cytując Pismo święte, chciał ją przekonać, że nieszczęście, które na nią spadło, właściwie nie jest nieszczęściem.

Ona przez ten tydzień postarzała się o kilkanaście lat, posiwiała i straciła wszelką chęć i siłę do pracy. Odtąd też zaczęło jej się wieść coraz gorzej. Powoli opuszczało ją wszystko i tylko zdrowie nie chciało jej odstąpić. W tym samym czasie chrzestni rodzice Kazia, którzy mieli sklep na jednej z większych ulic — zbankrutowali, i pani Czajkowska znikąd już spodziewać się nie mogła pomocy. Były więc takie chwile, kiedy, mimo gorącą swoją wiarą — myślała o samobójstwie. I kto wie, czy te smutne myśli, które zapalały się i gasły w jej mózgu nagle, jak błyskawice, nie przezwyciężyłyby jej modlitw serdecznych, gdyby niespodziewane szczęście nie wyciągnęło ku niej rąk. Kiedy zdawało się, że już wszystko stracone, pani Czajkowska otrzymała miejsce damy do towarzystwa i wyjechała do Włoch.

Obecnie od lat sześciu mieszka stale w Florencji. Życie jej płynie spokojnie i zdaje się, jest już zabezpieczona od wzruszeń i wstrząśnień, które w ciągu jednej nocy okrywają głowę siwizną. Nikt jej nie umrze, a na utrzymanie zarobić może. Codziennie, mianowicie od godziny dziewiątej do jedenastej wieczorem, grywa na fortepianie w pewnej małej kawiarni. Kawiarnia ta, zabłąkana w najbrudniejszym zaułku miasta, nosi nazwę „Café concerto Garibaldi“ i cieszy się wielkiem uznaniem w kołach spragnionej zabawy, a mniej zamożnej publiczności. Jest to długi pokój, niemożliwie brudny, w trzech czwartych swego obszaru zastawiony stolikami i krzesłami. Wzdłuż ścian ciągną się kanapy, okryte podartą materją dziwnego koloru. Właściciel i służba nazywają tę materję aksamitem. W rogu pokoju jest mała estrada, na której komicy i śpiewaczki wykonywują swe ucieszne produkcje, a obok estrady stoi stary rozstrojony fortepian.

I, dzień w dzień, powtarza się jedno i to samo. O godzinie wpół do dziewiątej wieczorem pani Czajkowska zasiada do fortepianu i uderza pierwsze akordy pierwszych tak zwanych swoich numerów. Gra skoczne marsze, ażeby dobrze usposobić publiczność. Potem na estradzie zmieniają się kolejno: komik i dwie stare śpiewaczki, a ona im akompanjuje.

Zdartemi, bezdźwięcznemi głosami śpiewają piosenki, od których uszy więdną i włosy powstają na głowie. Nieraz bierze panią Czajkowską chęć zerwać się od fortepianu i plunąć im w twarz za ich bezwstyd, za cyniczne ruchy, za wyzywające, bezczelne spojrzenia — ale trudno, trzeba żyć, więc tylko zaciska zęby i oczy trzyma w klawiaturę utkwione, bo choć od lat trzech co wieczór to widzi i słyszy, czuje, że nikomu w twarz spojrzeć by nie śmiała — ona, pani Czajkowska, żona polskiego lekarza.

Publiczność odwiedzająca kawiarnię jest ordynarna. Wszyscy krzyczą głośno, palą długie cuchnące cygara i plują na wszystkie strony. Czasem, gdy etruska krew zagra w żyłach, jacy tacy rzucą się ku sobie, ale wówczas starszy kelner, Antonio, ponury liguryjczyk, który soldy w palcach łamie, rozdziela zapaśników i wyrzuca ich na ulicę. I znów jest spokój.

W chwilach przerw pani Czajkowska przymyka oczy, głowę opiera o przepisy policyjne w czarnych ramach, które wiszą tuż nad fortepianem i czeka dzwonka.

Wreszcie o jedynastej wraca do swego mieszkania. I teraz dopiero poczyna żyć. Nawprost jej okien po drugiej stronie ulicy, ciągnie się wysoki, żółty mur, który okala ogród i willę bogatego przemysłowca. Ogród jest bardzo ładny, zadrzewiony, pełen laurów, pinij i różnych innych drzew, których pani Czajkowska nie zna. Ale lubi się im przypatrywać i w lecie długo zawsze wystaje w otwartem oknie, patrząc na ciemny splot gałęzi, śród których zapalają się i gasną drobne ogniki robaczków świętojańskich. Wygląda to tak, jakby najmniejsze gwiazdy pospadały z nieba, a wiatr je nosił pomiędzy drzewami. W mieście jest już cisza. Czasem tylko przesunie się przez ulicę kilku zapóźnionych włochów, brzęcząc na gitarach i mandolinach słodkie serenady. W miarę jak się oddalają i giną w ciasnych, średniowiecznych zaułkach, dźwięki piosenki mdleją, cichną coraz bardziej... I tego pani Czajkowska najlepiej lubi słuchać.

Serce jej, zamknięte przez cały dzień, otwiera się wtedy i snuje jasne wizje, których treść jest wiecznie jednakowa.

Że kiedyś, kiedyś bogaty przejezdny pan, polak, zajdzie do tej kawiarni, wiedziony niepojętą ciekawością, a dowiedziawszy się, że ona polka, zaopiekuje się nią i odeśle ją do kraju. Układała nawet w myśli rozmowy swoje z tym jasnym panem, królewiczem z bajki, obmyślała sceny spotkania. Przyjdzie ze swym przyjacielem, usiądą w pierwszych rzędach przy fortepianie i zaczną głośno po polsku rozmawiać. Ona nie da zrazu po sobie poznać, że rozumie, dopiero, aż numer skończy, bo to czego się podjęta trzeba sumiennie wypełnić. Ale w antrakcie zbliży się do nich, ukłoni i powie:

— Przepraszam, że się wtrącam do panów rozmowy, lecz ja już tak dawno polskiego języka nie słyszałam.

No i tak się zacznie. Musi mówić z godnością. Przez całe życie najgłówniejszą troską pani Czajkowskiej było zachowanie godności zawsze i wszędzie.

Wtedy zaproszą ją odrazu do swego hotelu, będą mieszkali gdzieś nad brzegiem Arna oczywiście... opowie im szczegółowiej swe losy i w jakie dziesięć dni potem będzie już w kraju. A tam... o tam da już sobie radę. Po sześciu latach tęsknoty ten kraj, z którego pani Czajkowska przed nędzą musiała uciekać, wydawał jej się jakby słoneczną ziemią obiecaną, kędy rzeki mlekiem i miodem płyną, a ludzkie serca są tak białe jak gołębie skrzydła. I nie mogła sobie wyobrazić, żeby nie przyjęto jej tam z otwartemi naoścież rękami, z radością w duszy, że wraca.

Raz, działo się to w lecie, pani Czajkowska czuła się dziwnie osłabioną. Cały dzień przeleżała w łóżku, męczona nieznośnym bólem głowy, który jej oczu otworzyć nie pozwalał. Tej nocy śnił jej się Kazio. Zjawił się przed nią jak żywy w czarnej, uczniowskiej bluzce, przesyconej ostrym zapachem benzyny, ale czystej — śmiał się ku niej i wołał na nią cichym, radosnym głosem:

— Mamusiu, mamusiu, niech no mamusia pójdzie.

I poszli razem jakąś daleką dziwną drogą, podobną do „Viale dei Colli“, ale ładniejszą — szli długo, aż się wreszcie znaleźli w niewielkim sosnowym lesie, pełnym słońca, które złotemi plamami kładło się na korze wycieńczonych drzew.

(Dok. nast.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.